

Edmund Niziurski

„Falszywy trop”

© by Edmund Niziurski 1998 illustrations by Bohdan Butenko

ISBN 83-87080-68-3

Wydawnictwo Literatura, Łódź 1998

90-731 Łódź, ul. Wólczańska 19

teifax(0»42)630 23 81

Druk i oprawa: Pabianickie Zakłady Graficzne SA

Pabianice, ul. P. Skargi 40/42

Zam. 439/1101/98

rużynowy Szyrmer stał pośrodku polany i bawił się zegarkiem. Jego wypukłe oczy za grubymi okularami błędziły z tajemniczym uśmiechem po otaczającym chłopców lesie.

- Ósma czternaście! - mruknął wreszcie, chowając zegarek do kieszeni. - Uwaga, za minutę zaczynamy.

Wszyscy wpatrywali się w niego z natężeniem.

- Już! - Szyrmer podniósł do góry rękę.

Harcerze rozbiegli się po polance. Było świeżo po deszczu. Ten niezdara Jęczyk oczywiście od razu się pośliznął i rąbnął jak długi. Chudy i złośliwy Karaśkiewicz zaraz to zauważył i zachichotał szyderczo. Jęczyk czerwony ze wstydu poderwał się i dopadł chłopców, którzy pospiesznie przepatrywali brzeg lasu. Każdy chciał pierwszy natrafić na ślad różowych. Lecz oto w jednym miejscu już ktoś krzyknął przeraźliwie grubym głosem:

3EST MSTf

To Kuba Babas zwany pospolicie Biszkoptem. Można go było od razu poznać po tym zachrypniętym głosie. Chłopcy rzucili się do niego. Babas pokazywał triumfalnie skrawek czerwonej wstążeczki. Zauważył na jałowcu. „O... tak była zawieszona!” - tłumaczył podniecony. Ale w tej samej chwili rozległy się wrzaski po drugiej stronie polanki. To Karaśkiewicz wołał chłopaków, wymachując kawałkiem fioletowej bibułki nadzianym na kij, jak chorągiewka. Znalazł tę bibułkę pod sosną na mchu. To na pewno ten ślad, o którym mówił druh. Więc teraz znów wszyscy dla odmiany rzucili się do Ka-raśkiewicza. Wszyscy, oprócz Jęczyka. Jęczyk nie lubił Karaśkiewicza i wołał zostać przy Babasie.

Z drugiej grupy nawoływano ich:

- Babas, Jęczyk! Chodźcie! Mamy ślad różowych.

- My też mamy - odkrzyknęli, podnosząc do góry znaną wstążeczkę.

Karaśkiewicz podbiegł do nich zaniepokojony.

- Pokażcie!

Oglądał podejrzliwie czerwony skrawek.

- Co to jest, do licha. Dwa ślady? To niemożliwe. Druhu drużynowy!

- Druhu drużynowy, dwa ślady odkryto. I co teraz? Drużynowy Szyrmer czyścił chusteczką okulary.

- Jeden ślad grupa różowych zrobiła umyślnie dla zmylenia was - powiedział. - Jest to ślad fałszywy.

- Tak, ale który?

Szyrmer uśmiechnął się zagadkowo.

- A... tego nie mogę wam powiedzieć. Musicie rozwiązać sami ten problem.

Z przeraźliwymi okrzykami: „Hura na różowych!” rozbiegli się na dwie strony.

Szyrmer zagwizdał.

- Stop! Jeszcze jedna uwaga. Za dużo robicie hałasu. Tropienie musi się odbywać w absolutnej ciszy. Wszelkie wrzaski są niedopuszczalne. Ładnie by wyglądali na wojnie zwiadowcy, gdyby tak wrzeszczeli jak wy.

- Tak jest, druhu drużynowy! - bąknęli chłopcy i ruszyli powtórnie w stronę lasu. Tym razem w zupełnej ciszy.

Karaśkiewicz dawał Jęczykowi i Babasowi znaki, żeby szli za jego śladem, ale oni wzruszyli tylko

pogardliwie ramionami. Z jakiej racji jego ślad ma być akurat tym prawdziwym? Zresztą tuż obok jałowca, na którym wisiała wstążka, zauważyli zarośniętą przez wrzosi i borówki, ledwo dostrzegalną ścieżynkę. To ich utwierdzało w przekonaniu, że są na dobrym tropie. Dlatego bez namysłu poszli w tym kierunku.

Kiedy się obejrzeni po raz ostatni, zauważyli, że urażony Karaśkiewicz pokazuje im język i robi taką minę, jakby mówił: „Nie chcecie iść ze mną, to nie. Jeszcze zobaczycie, kto miał rację”.

Ano zobaczą. Ruszyli pospiesznie rozglądając się za następnym śladem. Las był gęsty, taki, jaki spotykamy w wilgotnych nadmorskich okolicach zachodniego Wybrzeża. Duże drzewa rosły wprawdzie rzadko, ale tym bujniej krzewiło się podszycie. Czerwone jarzębiny, leszczyny, czarne olsze, jeżyny, tworzyły miejscami nieprzebytą zaporę. Mokre gałęzie były ich po oczach, czepiały się ubrania.

Mieli wrażenie, że są pierwszymi od wielu lat ludźmi na tej ścieżce. Po trzech minutach takiego przedzierania się przez „dżungłę” Jęczyk miał wszystkiego dosyć i od razu ogarnęły go zasadnicze wątpliwości, czy wybrali właściwą drogę.

Kie

ty tnm

- Słuchaj, Biskopt! - odezwał się do Babasa - myślisz, że różowi naprawdę mogli iść tędy?...

Przecież musieliby zostawić jakieś ślady na krzakach, nadłamane gałązki, strącone liście.

- Głupi... - mruknął Babas - nie znasz różowych. To spryciarze. Oni czołgali się naumyślnie dołem, żeby nas zmylić. O, popatrz... są ślady. Nie bój się, ja mam węch.

Rzeczywiście, na zarośniętej ścieżce widać było kilka rozgniecionych borówek. Jęczyk pomyślał, że to mógł zrobić niekoniecznie człowiek, ale postanowił zaufać „węchowi” Kuby Babasa.

Wkrótce jednak wyszli na małą polankę i ścieżka zatarła się zupełnie. Stanęli bezradnie.

, PAto?

Ale Kuba był wciąż dobrej myśli.

- Nie bądź jęczykiem - mruknął. - Zamiast kwękać, „przeczesz” lepiej te krzaczki. Tu musi być ślad.

Jęczyk jednak stracił jakoś zupełnie przekonanie do tego śladu. Postanowił wrócić i iść tropem Karaśkiewicza. Cofnął się już nawet dwa kroki, gdy wtem wzrok jego padł na rozłożysty, przypłaszczony do ziemi krzak jeżyn i serce zabiło mu mocno.

- Patrz, Kuba - krzyknął - znak!

- Pokaż - Babas doskoczył podniecony.

Z kolców jednej z gałązek zwisała długa na palec, zielona nitka.

- No widzisz - powiedział Babas. Rozpromieniony zdjął nitkę i schował do kieszeni bluzy. - Mówiłem ci, że dobrze idziemy. O, patrz, nawet jeżyny podeptali - pokazywał podniecony. - No, teraz bracie, to już nam pójdzie gładko. Tylko patrzeć, jak Karaśkiewicz dołączy do nas.

- Może zaczekamy na nich - Jęczyk zaproponował nieśmiało.

- Jeszcze czego. Mogli iść od razu z nami - oburzył się Kuba i pociągnął Jęczyka za sobą.

;..i "-J

;:”

lvł

Las, w którym się znaleźli teraz, był zupełnie inny. Szli jakby wąwozem między dwoma garbami zadrzewionych wysokimi sosnami wydm. Zamiast krzaczastego podszycia rosła tu bujna, wysoka trawa.

Trop był wyraźny. Przed nimi na tle zielonej płaszczyzny leśnego runa ciągnęła się ciemniejsza smuga mokrej przydeptanej trawy. Znać, że przechodziło tędy parę osób.

Uszli tak może sto metrów, gdy nagle ślad skręcił gwałtownie pod górę. Wysoki bór skończył się niespodziewanie i ustąpił miejsca młodemu mieszanemu lasowi składającemu się głównie z dębów, leszczyny i brzołek.

Tu znów zgubili ślad. Dopiero po kilkuminutowych poszukiwaniach Kuba zauważył w jednym

miejscu na zwartej ścianie zieleni dziwnie obwisłe gałązki. Stwierdzili, że są nadłamane i to świeżo, bo jeszcze nie zwiędły. Znać, że się ktoś tędy niedawno przedzierał. Ruszyli bez namysłu tym tropem. Był to najcięższy odcinek drogi. Trop jakby umyślnie prowadził przez największe gąszcze. Droga była i męcząca i przykra. Potykali się o jakieś stare pniaki, zapadali w jakieś dziury.

4

Najgorsze, że szli i szli, a końca tego piekielnego lasu i nie było widać. Jęczyk chciał przynajmniej odpocząć, ale Kuba, choć sam narzekał, popychał go bezlitośnie na-przód, mając nadzieję, że to się niedługo skończy. W poprzednich zawodach tropienie nie trwało nigdy dłużej niż pół godziny. Wreszcie po półgodzinnym chyba marszu las zaczął się przerzedzać.

- Bo to już chyba koniec - mruknął Kuba. Zebrali siły i ruszyli biegiem naprzód. Byli przekonani, że za chwilę ujrzą różowy proporczyk i chłopców z pierwszego zastępu.

Istotnie, jakby na potwierdzenie ich przypuszczeń las skończył się zupełnie i ujrzeli przed sobą zachęcający zagajnik. Taki mały zagajnik oznaczał normalnie kres poszukiwań. Zwykle na widocznym miejscu powiewał proporczyk, a obok siedział przyboczny z sygnałówką, żeby obwieścić koniec zabawy.

Tym razem jednak czekało ich nowe rozczarowanie. Zagajnik był pusty.

- Co to może znaczyć? - zdenerwował się na dobre Kuba.

Jęczyk spojrział na niego zaniepokojony.

- Ty, Biskopt, a jak my naprawdę źle poszliśmy?

- Jak to, przecież cały czas tropiliśmy po śladzie - mruknął Kuba. - No, trudno, musimy szukać dalej.

Pochylili się nad ziemią, ale śladów nie było.

C

\\ UI 11*1 / i i " ' ' ' f*

I lasu

»ć, ale

I na-ńczy. lu-rba

Ziemię zagajnika pokrywały twarde mchy albo zeschnięte igliwie.

Nagle Kuba zatrzymał Jęczyka:

- Patrz! Tędy szli! - krzyknął uradowany.

- No, nie widzisz? Pajęczyna zerwana.

- Ech, nie wiadomo kiedy.

- Jak to nie wiadomo?... Teraz, przed chwilą, o patrz, jeszcze pajak biega...

Jęczyk spojrział ciekawie... Istotnie, zdenerwowany pajak z białym krzyżem na grzbiecie biegł po zerwanej sieci, a potem zaczął spuszczać się na „linie ratunkowej” ku ziemi.

Jednocześnie zdawało się chłopcom, że usłyszeli charakterystyczny szelest i trzask suchych gałązek, jaki powoduje człowiek przeciskający się przez gęsty zagajnik. Po chwili trzask się powtórzył. Jęczyk znieruchomiał.

- Słyszałeś? - uściśnął Babasa za rękę.

~rr~

patrz,

:ia-iki podajnik. Bał.

Babas stał z rozwartymi szeroko ustami.

- Słyszałem - wyszeptał.

Nie wiadomo dlaczego, zrobiło im się jakoś nieprzyjemnie. Po prostu zaczęli się bać.

Nasłuchiwali jeszcze przez chwilę, ale szelest zamarł i nie powtórzył się. I w ogóle cały zagajnik wydał się martwy. Może się przestęszeli.

- No, idziemy? - Jęczyk zapytał niepewnie.

- Idziemy - szepnął Kuba.

Ale ledwie zrobili krok, w krzakach znów coś zaszura-ło. Popatrzyli po sobie... i nagle wszystko zaczęło się im wydawać dziwne i niepokojące. Dlaczego tak długo szli? Nie mieli wprawdzie zegarka, ale od dłuższego czasu burczało im już solidnie w brzuchach, a ten zegarek nie zawodził

ich nigdy. Być może dzisiaj trochę się pospieszył, ale w każdym razie musiało już być po szóstej. Bolały ich łydki i stopy. Zrobili chyba z pięć kilometrów. Niemożliwe, żeby różowi zapuścili się tak daleko. Zresztą, gdyby trop był prawdziwy, to Karaśkiewicz powinien dawno dołączyć się do nich, do Kuby i Jęczyka. Dlaczego nie dołączył? No i co znaczył ten szelest? Jeśli to mimo wszystko różowi, dlaczego się kryją? Czyżby wciąż jeszcze szli przed nimi? Niemożliwe. Od dawna powinni czekać na nich przy proporczyku.

- Zawołamy do nich - wykrztusił Jęczyk.

I

- A... a jak to nie są oni?... - szepnął Kuba.

} f Właśnie. Jęczykowi też ta myśl nie dawała

już dawno ^«

spokoju, ale odpędzał ją uporczywie. No, bo jeśli nie oni, ^t to kto? Komu by się chciało taki kawał przedzierać przez najgorszą gęstwinę? Dookoła rozciągało się bezludzie. Kolonia harcerska mieściła się w leśniczówce w odległości czterech kilometrów od dawnego PGR Żernowo. A może to w ogóle nie był człowiek, tylko jakieś zwierzę... dzik na przykład? Nie, dzik nie mógł zostawić zielonej nitki na jeżynach i łamać gałęzi na wysokości półtora metra. Więc kto?

Jęczyka przeszedł nieprzyjemny dreszcz.

- Wróćmy lepiej - szepnął. - To na pewno nie był ślad różowych.

Babas zawahał się.

Swoją drogą dziwny z niego chłopak. Nawet teraz jego zdeorientowane i wystraszone oczka świeciły ciekawością. Zwlekał czegoś, rozglądał się.

A

- No, chodź, Biskopt - powtórzył Jęczyk, pociągając go niecierpliwie.

- Zaraz... zaraz... tylko... tylko... jeszcze zobaczę, co się tam ruszało.

Kuba oblizwał spieczone wargi, podciągnął spodnie i roz-

lił ostrożnie gałęzie. Po chwili zniknął w gęstwinie.

Zostać samemu jeszcze bardziej nieprzyjemnie. Jęczyk » estchnął zrezygnowany i z walącym jak młot sercem ru-I za Kubą.

Chyba dobry kwadrans krążyli tak po całym zagajniku, ale nie natrafili na nic ciekawego czy podejrzanego. Powo-| zaczęło im się robić jakoś raźniej na duszy.

- Wiesz co, Jęczyk, zdawało nam się chyba - powiedział Babas. - Tu nikogo nie ma. Niepotrzebnie nastraszyliśmy się.

- Może tylko zając się spłoszył - zauważył Jęczyk.

- Albo lis...

- Trudno, mieliśmy pecha. Każdemu, bracie, się zdarza. Najgorsze, że Karaśkiewicz będzie się śmiał. Jakby człowiek był winny. Za śladem przecież szliśmy. Kto mógł wiedzieć...

- No... chodźmy już, chodźmy - rzekł zrezygnowany Jęczyk.

- Zaraz bracie, tylko musimy znaleźć jakąś lepszą drogę, bo nie myślę znów się szarpać po tych krzaczkach.

To mówiąc, Kuba wyciągnął kompas, który nosił na sznurku u szyi.

- Najlepiej od razu walić na południe - orzekł głośno. - Tam bracie, jest ta droga... no wiesz... ta co idzie pod lasem, a potem maszerujemy prosto na zachód i jesteśmy w domu.

- No, to jazda - powiedział Jęczyk. - Tylko szybko. Rzucili się na przełaj...

I nagle... To było tym bardziej straszne, że niespodziewane. Gdzieś niedaleko rozległy się trzy ogłuszające strzały. Jednocześnie nie dalej jak pół metra od Jęczyka pociski ścięły wierzchołek choinki.

Chłopcy padli odruchowo na ziemię i razełŁj&k sparaliżowani, nasłuchując. Ale strzały się nie powtórzyły. Najmniejszy szmer nie zakłócał ciszy. Chłopcy patrzyli po sobie z przerażeniem.

Co to było? Kto strzelał? Straż Graniczna... czy jakiś myśliwy... A może przestępca graniczny? Ośmielony ciszą, podejdzie teraz i zatłucze ich.

Wszystko, co słyszeli o przestępcach kryjących się w przygranicznych lasach, stanęło im w jednej chwili przed oczami. Myśl chłopców pracowała gorączkowo: -Co robić? Co robić? Uciekać... Tak,

uciekać. Wyrwać się stąd za wszelką cenę.

Łatwo powiedzieć, kiedy ze strachu nie można zrobić najmniejszego ruchu, nawet podnieść głowy. Ale również i wtedy gdyby mogli się ruszać, nie ruszyliby się za nic, wstrzymaliby nawet bicie serca, żeby ich nie zdradziło. Ale ono łomotało jak na złość głośno... przeraźliwie głośno...

Sami nie wiedzieli, jak długo przeleżeli w ten sposób. Może dziesięć minut, a może pół godziny. Wreszcie Ję-czyk nie wytrzymał dłużej i przewrócił się ostrożnie na drugi bok. Suche igliwie zaszeleściło, aż go ciarki przeszły. Nic się jednak nie stało.

Wtedy zaczęli ostrożnie czołgać się naprzód. Przeczoł-gali się może dwadzieścia metrów i znajdowali się właśnie za wykrotem starego dębu, gdy wtem do uszu ich dobiegł wyraźny szelest i jakby szmer głosów. Wychylili się ostrożnie z wykrotu i serca im zamarły.

Tuż nad sobą poprzez szparę w gałęziach jałowca, za na pół zbutwiałym pnieniem ujrzeli dwu ludzi. Leżeli rozplaszczeni na mchu i dyszelą głośno jak miechy. W rękach mieli pistolety dużego kalibru. Raz po raz niespokojnie unosili głowy i rozglądali się dookoła, ale gdzieś ponad głowami chłopców. Nie przyszło im widać do Sowy, że ktoś się może czaić dosłownie o dwa metry od nich.

Chłopcy zastygli w bezruchu. Bali się, że najłżejszy szelest może ich zdradzić... Z szeroko otwartymi oczyma przyglądali się nieznanym.

„To oni... - pomyśleli od razu - to oni przedzierali się przez zarośla, to oni strzelali”.

Byli to młodzi mężczyźni, lat około trzydziestu. Jeden z nich chudy i łysawy blondyn w okularach, z wypchaną teczką w lewej ręce, ubrany w samodzielną marynarkę w zieloną kratę, przypominałby skromnego urzędnika na wczasach, gdyby nie to, że w drugiej łapie zaciskał potężny pistolet. Chłopcy pomyśleli od razu o tej wełnianej nitce, którą znaleźli... Tak, to na pewno z marynarki tego typu.

Drugi z mężczyzn, muskularny brunet, podobny był raczej do turysty. Miał brązową, welwetową wiatrówkę, wycieczkowe wibrany na nogach, a na ramionach plecak. Obok niego leżał podłużny pakunek ściągnięty rzemieniami.

ifin

Chłopcy zastanawiali się, kim są te typy. Dlaczego przedzierali się przez największe zarośla? Dlaczego strzelali? Dlaczego są tacy wystraszeni?

- Nie, musiało ci się zdawać... - usłyszeli wyraźny szept. - Nic nie słyhać.
- Tak, to pewnie zając - odparł ten łysy.
- No i po co strzelałeś, idioto? - syknął z wściekłością Czarny.
- Byłbym przysięgł, że widziałem zielone mundury.
- Człowieku, zastanów się, gdyby to byli oni, odpowiedzieliby ogniem.
- Chyba, że ich uziemiłem za pierwszym zamachem.

Chłopców przeszedł dreszcz. Tak, teraz nie mieli już żadnej wątpliwości, że to są przestępcy. Bandyti jacyś, a może... a może prawdziwi szpiedzy.

- No to idź, sprawdź - rzekł do Łysego Czarny.
- Żartujesz chyba - wzdrygnął się Łysy.
- No mówię, idź. Zostaw tylko landryny na wszelki wypadek.
- Nie mam już landryn.
- Jak to, nie masz?
- No... jak się wyłoniło to... to niebezpieczeństwo, pozbyłem się... tego pudełka.
- Co takiego?...
- Rzuciłem je... Żeby nie znaleźli przy nas.
- W krzaki... - pokazał ręką za siebie.
- Ty tchórzu!... Idź natychmiast szukać. I nie wracaj mi bez pudełka. No, podnoś się, mamucie. -

Czarny szturchnął go pistoletem.

- Nie... nie... - Łysy jeszcze bardziej przypląszczył się do mchu. Na jego łysinie pojawiły się błyszczące krople potu. - To zasadzka... nie wolno nam się ruszać... oni tam są - bełkotał.

- Ty bohaterze, wysiadłeś już zupełnie - mruknął Czarny z pogardą, wstał i ruszył w krzaki. Po chwili wrócił niosąc z sobą kolorowe błyszczące blaszane pudełko i... niebieską, harcerską chustę. Był bardzo zdenerwowany.

Chłopcy spojrzeli po sobie przerażeni. Dopiero teraz Babas zauważył, że Jęczyk nie ma na szyi chusty. Musiała zostać na krzakach, gdy przedzierali się przez zarośla.

- Co to? - wyszeptał Łysy.

- Nie widzisz, chustka harcerska.

- Więc jednak szli za nami...

- Tak, to do nich strzelałeś.

- Oni muszą tu gdzieś być... - zaniepokoił się Łysy.

- Wątpię. Na pewno po tych strzałach uciekli, gdzie pieprz rośnie. Chodź, nie mamy czasu. Te twoje fatalne strzały. Zaraz tu może przyjść patrol.

fonowyt.

Na twar kiej ulgi.

Chłopi ce.

- Szpieg

czyk.

Babas sk

- Słuch

- Co

- Spr

- Daj AleBi Wtei

'rTrtu

- Nie... nie... - znów spociał się Łysy - musisz zobaczyć... upewnić się... mogą nas śledzić... Musisz zbadać dokładnie teraz krzak po krzaku.

Czarny zasapał zdenerwowany, ale ruszył z powrotem w las. Chłopcy skulili się za krzakami jałowca. Ale choć serca łomotały im ze strachu, nie spuszczała Łysego z oczu.

Typ otworzył pudełko, wysypał na ręce garść landryn, a potem wyjął z pudełka kilka małych kaset magnetofonowych i magnetowidowych...

Na twarzy pojawił mu się uśmiech zadowolenia i głębokiej ulgi.

Chłopcy spojrzeli po sobie i uścisnęli się mocno za ręce.

- Szpieg... - szepnął do samego ucha Babasowi Jęczyk.

Babas skinął głową i szepnął:

- Słuchaj ja mam w kieszeni straszak.

- Co chcesz zrobić? - przestraszył się Jęczyk.

- Spróbuję mu...

- Daj spokój...

Ale Babas już wyciągnął straszak.

W tej samej chwili rozległ się za nimi ostry głos:

V

,

'J

To Czarny doskoczył do nich z wyciągniętą bronią. Że też się tak mogli zagapić... Nie... nic by im nie pomogło. Nie mogli się przecież ruszyć. Najmniejszy ruch zdradziłby ich obecność. Czarny i tak w końcu by ich odnalazł.

Łysy na widok chłopców oniemiał w pierwszej chwili, a potem z wściekłością dopadł do Jęczyka i chwycił go za kołnierz.

- Jest tam jeszcze kto? - zadyszał, potrącając gwałtownie chłopców. - Mów zaraz, jest tam jeszcze kto?
 - Nie... nie ma nikogo - wykrztusił przerażony Ję-czyk.
 - Czy to wy szliście za nami od godziny?
 - Chy... chyba... - wyjąkał Babas.
 - Wiecie, kto my jesteśmy?
 - Nie... jak mydło kocham, nie! - zapewniał gorączkowo Babas.
 - Nie kłam, bo ci nos rozkwaszę. Odpowiadaj! Mów prawdę, za kogo nas uważasz. No?...
 - Nie ośmieszaj się - mruknął ten drugi w wiatrówce. - Jasne, że cię nie uważają za anioła. To jest zresztą zupełnie obojętne, za kogo nas uważają...
- Ale Łysy nie zwracał na niego uwagi... Spocony, z rozbieganymi nerwowo oczyma indagował dalej chłopca.
- Dlaczego szliście za nami krok w krok?

to hfl

-

ny. dzJ

ITLc

żeby szul tów.

*-!

zbh zdui

- My... my nie chcieliśmy - wykrztusił Jęczyk.
- My myśleliśmy... - szepnął Babas.
- Myśleliśmy...
- Myśleliśmy, że to różowi - dodał Babas.
- Co za różowi? - zmarszczył brwi Łysy.
- No... różowi.
- Tylko bez głupich żartów.

Łysy zamierzył się pięścią, ale Czarny powstrzymał go.

- Czego się złościsz na chłopaków? Nie rozumiesz, że to harcerze? Bawili się w podchody albo w tropienie. Nie zgadłem, chłopaki?
- Tak jest, proszę pana...
- Co za pech! - wycedził przez zaciśnięte zęby Łysy.
- Pech jak pech, ale głupota. Oczywiście z twojej strony... Żeby tak się zbłaźnić... - zasapał Czarny.
- Zamknij się - przerwał mu Łysy. - Kto mógł wiedzieć, że takie łebki mogą się pętać w tej okolicy. Zresztą mają zielone mundury... to mnie zmyliło.
- Nie skrzecz, zabandażuj lepiej dzioby tym ptaszkom, żeby nie przyszła im ochota popisywać się głosem. Ob-szukaj, czy nie mają przy sobie jakichś ostrych przedmiotów, którymi nie wolno bawić się dzieciom.

Łysy zaczął obmacywać chłopców. Wyciągnął scyzoryk z bluzy Jęczyka, a z kieszeni Babasa straszak. Oglądał go zdumiony.

- POPĄTR2

- Nie, to tylko zabawka na ślepe naboje do straszenia wróbli - rzekł Czarny.

Sprawił magazynkę, a widząc, że jest pusty, zwrócił Babasowi. Potem jednak coś nagle przyszło mu na myśl.

- Chodź no tu, chłopcze! - powiedział. - Chodź tu, chłopcze, z tym straszakiem. Słuchaj, Łysy, mam pomysł... Położę na drodze ten straszak i chustę. To załatwi sprawę tych twoich głupich demaskujących strzałów. Straż będzie myślała, że to harcerze strzelali.

- A potem? - zapytał Łysy.

Czarny pochylił się do ucha Łysego i szeptał mu coś przez chwilę...

Chłopcy zdrtwilieli... A więc na dodatek ich chusta i straszak mają posłużyć do oszukania Straży. Co za perfidny pomysł... Co robić? Spojrzeli na siebie bezradni.
To czyi
szedi

To trwało ledwie sekundę. Babas otrząsnął się nagle...

- Daj tę zieloną nitkę! - szepnął gorączkowo do Jęczyka.

- Po co?

- Daj.' - syknął Babas i wyszarpnął Jęczykowi z rąk nitkę. Zerwał z dębca zielony liść, zawinął w niego nitkę i kryjąc się za jego plecami, żeby szpiedzy nie widzieli, wsunął liść z nitką do magazynku straszaka.

Jęczyk przyglądał mu się oniemiały. Nic nie rozumiał.

- No, daj no, braciszku, tę zabawkę. - Czarny podszedł do Babasa i zabrał mu straszak.

- Do zobaczenia za pięć minut, bohaterowie! - pomachał mu szyderczo niebieską chustą Jęczyka i oddalił się szybko w stronę drogi.

Łysy tymczasem skrępował chłopcom ręce, a w pasie przewiązał ich linką. Drugi koniec sznura trzymał w dłoni, żeby mu nie uciekli.

W strażnicy Straży Granicznej patrol składał dowódcy, podporucznikowi Groźniakowi, meldunek o strzałach i znalezieniu straszaka oraz niebieskiej chusty harcerek na drodze leśnej.

- Znów chłopcy z kolonii, poruczniku - zakończyli skwaszeni.

- Tak, znów ci chłopcy z kolonii - westchnął porucznik.

Podporucznik miał w ogóle dość chłopców i pomyślał, że dręczy go szczególnie pech. Żeby choć raz unieszkodliwić prawdziwego przestępcę! W tej przeklętej dziurze nie ma przestępców granicznych i podporucznik Groźniak nigdy nie wykaże swoich nadzwyczajnych talentów... i nie odznaczy się bohaterskim czynem, do którego tęskniło jego żołnierskie, ofiarne serce.

Podporucznik odprawił żołnierza i pomyślał, że trzeba będzie pojechać z tym straszakiem na kolonię i stanowczo przemówić do słuchu wychowawcom i chłopcom, żeby wreszcie zrozumieli, że strzelanie i urządzenie podchodów w pasie granicznym to skandal.

A w ogóle podporucznik Groźniak postanowił sobie, że w najbliższym czasie zwróci się do odpowiednich władz, żeby na przyszłość nie organizowano żadnych kolonii ani obozów w pobliżu strażnicy i w ogóle w strefie granicznej. A jeśli będą jakieś opory i wątpliwości, złoży ten straszak jako corpus delicti, czyli dowód przestępstwa.

Podporucznik Groźniak westchnął ciężko... Pomyślał, że nie będzie go mógł załączyć jako corpus delicti odpowiednim władzom, lecz będzie musiał zwrócić chłopcu... gdyż mogłyby być skargi, że zabiera dzieciom zabawki... i tego by jeszcze brakowało. Odda więc jeszcze dziś ten straszak, ale przed tym wyjmie z magazynka resztę na-boi, pozbawi go zdolności huku i straszenia.

ni st przy

Wysunął więc magazynek, ale ku swojemu zdziwieniu stwierdził, że nie było ani jednego naboju. Znajdował się tam zwinięty liść dębu a w nim zielona nitka.

- Co za diabeł? - mruknął podporucznik Groźniak.

Wziął nitkę w palce i oglądał ją ze zdumieniem.

Potem machnął ręką, wrzucił straszak do szuflady biurka i próbował wziąć się do załatwienia sprawy mundurowej, ale zielona nitka nie dawała mu spokoju. Odłożył więc sprawy mundurowe, wyjął straszak z szuflady i znów obejrzał nitkę. Przyszło mu do głowy, że właściwie to dosyć dziwna historia z tą nitką i nie namyślając się dłużej kazał zbudzić sierżanta Pieczabę. Pieczaba miał dwie ubiegłe noce pod rząd służbę i zjawił się w piżamo-wej kurtce, zaspany i ziewający przeraźliwie od ucha do ucha.

Jego oczka były jeszcze mniejsze niż zwykle i prawie niewidoczne pod napuchłymi powiekami.

Chwiejąc się, stanął przed podporucznikiem i usiłował bezskutecznie przybrać postawę służbową, zasadniczą.

Podporucznik spojrział na niego z troską. Odkąd zachorował drugi sierżant Kozuń, Pieczaba

ustawicznie był na nogach, miał za niego nocną służbę i nie spał po kilka nocy z rzędu. Chłop miał żelazne zdrowie i jakoś się trzymał, tylko jego oczka robiły się coraz mniejsze. Tym razem bezsenność jednak musiała zmóc go wreszcie, bo wyglądał tak żałośnie, że podporucznik zwątpił w jego przytomność i zdolność do rozważań natury sztabowej.

- Pieczaba, czy jesteście na chodzie? - zapytał.

- Nie... Niezupełnie, panie poruczniku. Wydaje mi się, że pływam - Pieczaba usiłował za pomocą rąk otworzyć sobie oko.

Podporucznikowi zrobiło się przykro, że obudził Piecza-bę, ale poza Pieczaba nie było w strażnicy doświadczonego podoficera, więc powiedział:

- Musicie być na chodzie, Pieczaba. Oczekuję od was dzisiaj błyskotliwości umysłu.

- Tak jest. Rozkaz! - trzasnął obcasami Pieczaba, po czym chwiejnym krokiem wyszedł na podwórze i kazał służbowemu wylać sobie na głowę wiadro wody, a potem drugie, trzecie, aż do skutku.

Wreszcie po dokonaniu tych rozpaczliwych zabiegów stawiał się z powrotem u podporucznika, ociekający wodą i żalony, ale za to jego oczka błyszcząły o wiele jaśniej i powiększyły się do rozmiaru dziesięciogroszówek, co było dość dużym osiągnięciem u sierżanta Pieczaby.

- Siadajcie, Pieczaba - powiedział podporucznik Gro-źniak i bez słowa pokazał sierżantowi straszak.

Podporucznik opowiedział o całej historii ze strzałami. Sierżant obejrzał straszak fachowo i sprawdził magazynek.

- Pusty - powiedział.

- Nie był pusty - rzekł podporucznik. - To w nim znalazłem - pokazał zieloną nitkę i liść dębowy.

- Żartujecie, poruczniku.

- Nie... mówię poważnie. W magazynku była ta nitka zawinięta w liść.

- Dziwne - powiedział sierżant odkładając straszak i nitkę.

- Mnie też wydało się dziwne - rzekł podporucznik -dlatego was obudziłem. Ciekaw jestem, co o tym myślicie.

Sierżant objął rękami łupiącą go z niewyspania głowę i zatopił swoje bystre oczka w leżącej na stole zabawce.

- Pozwólcie się skupić, poruczniku.

- Dobrze, tylko na miłość boską skupiajcie się szybko, sierżancie.

Sierżant przez chwilę walczył z sennością, wreszcie zdołał się przemóc i powiedział:

- Przede wszystkim jedna rzecz wydaje się dziwna: w jaki sposób oddano strzały, skoro był zapchany magazynek...

nic !

dobra nitka

chlc

Chyb biorą OiM

dan:

- To prawda... straszak nie mógłby strzelać, gdyby miał w magazynku takie śmieci - rzekł podporucznik -chyba... chyba, że... ale potem pomyślałem sobie, że chłopiec włożył tę nitkę już po strzeleniu.

- Po co by kładł?

- Właśnie to jest pytanie. Poza tym, zauważcie sierżancie, co to za nitka. O ile się nie mylę, nikt w okolicy nie nosi marynarki ani ubrania ani czapki utkanych z takich nici. Ani w strażnicy, ani w obozie...

- Z pewnością nikt nie nosi - rzekł sierżant. - Znam dobrze wszystkich w okolicy. Na pewno nikt nie nosi... Ta nitka pochodzi od kogoś obcego.

- Więc w takim razie skąd się wzięła w posiadaniu chłopca?

- Mógł ją znaleźć.

- Mógł ją znaleźć, ale po co by pchał do magazynka? Chyba, że to był nienormalny chłopiec. Ale na obóz nie biorą nienormalnych chłopców - odparł porucznik. - O ile się nie mylę, są oni przed wyjazdem szczegółowo badani przez lekarzy.

- Tak, oczywiście, że tak, a zatem, nie mógł to być chłopiec nienormalny - rzekł sierżant, pocierając się w ostrzyżoną na jeża głowę. - Pozostaje więc tylko jedno wyjaśnienie. Chłopiec ów wepchnął tę nitkę naumyślnie...

- Ale po co?

- Pozwólcie mi się skupić - rzekł sierżant, kontynuując masaż czaszki.

Podporucznik pohamował się więc i pozwolił się skupić sierżantowi.

Sierżant Pieczaba przez chwilę jeszcze uprawiał masaż czaszki, po czym powiedział:

- Widzę jedno bardzo ponętne rozwiązanie. Chłopiec nie zgubił straszaka, ale umyślnie go upuścił razem z chustą, żeby zostawić ślad i zwrócić naszą uwagę.

- Ślad?

- A ta nitka i ten liść coś znaczą... Może chciał nam przekazać jakąś wiadomość.

- Co wy bredzicie, sierżancie... Sierżant przetarł oczy.

- Może bredzę - rzekł - ale może nie... Przypuśćmy, że chłopiec wpadł na jakiś trop...

- Trop? Czyj?

- No, przestępców. Ta nitka... ona daje dużo do myśle-
/r.

- Przestępców? Co wy?! - zdenerwował się podporucznik. - Nie, dajcie spokój. Nieprzytomni chyba wciąż jeszcze jesteście... Założmy nawet, że tak było, to po jakie licho te wszystkie dziwaczne kombinacje? Przecież mógł przyjść na strażnicę i powiedzieć co i jak.

SU9

- Może nie mógł.

- Jak to?

- Może był w rękach przestępców... a te strzały to były strzały nie jego, ale... do niego.

Podporucznik zbladł i zerwał się z krzesła.

- Tak, to możliwe - wykrztusił.

- Zdaje się także - rzekł sierżant - że wiem, gdzie znaleźć trop przestępców.

- Wiecie?

- Ten liść dębowy...

- Prawda. Dęby u nas rosną tylko w kwadracie KS! - wykrzyknął podporucznik. - A zatem alarm.

Nie mamy ani chwili do stracenia. Zarządzamy alarm, sierżancie. Macie jeszcze jakieś pytania?

- Tak jest!

- Słucham?

- Czy mogę ziewnąć, poruczniku?

- Co takiego?... Ależ tak, drogi sierżancie.

Ale Pieczaba nie ziewnął. Nim się porucznik zorientował, pocziwy sierżant już spał.

: .

M

Czarny zziajany wpadł na polanę, gdzie czekał go Łysy z jeńcami.

- No, to wszystko załatwione - powiedział zadyszany. - Ruszamy.

Szli przez najdziksza część lasu. I nie był to przypadek. Szpiedzy umyślnie wybrali tę drogę. Czuli się tu bezpieczni. Chłopcy z ponurymi minami obserwowali ich, jak śmiało i zręcznie poruszają się w gęstych zaroślach.

Co robić? - myśleli zaniepokojeni. - Jeśli pójdzie dalej w tym tempie, akcja Straży Granicznej może być spóźniona. Za parę minut przestępcy ukryją się w starych wrakach na brzegu. Zaraz potem będzie wieczór, noc i kto ich tam znajdzie? A gdy tylko się ściemni, do brzegu ze statku zakotwiczonego na płyciźnie dobije cicha łódź, zabierze drani i... „żegnaj kochana ojczyzno..."

Chłopcy przygryźli spieczone wargi. Wymienili gorączkowe spojrzenia. Coś trzeba zrobić. Za nic na

świecie nie można do tego dopuścić. Trzeba natychmiast przystąpić do akcji.

- Proszę pana, niech pan stanie. - Jęczyk usiłował zatrzymać Czarnego. - Niech pan stanie...

- Czego chcesz?

- Słyszałem trąbkę. O, niech pan posłucha... znowu się odezwała, to pewnie trąbka leśniczego.

Czarny nie stanął wprawdzie, ale zwolnił kroku i widać było, że nasłuchuje.

- Nic nie słyszę. Nie, musiałeś się przesłyszeć. Łysy, słyszałeś coś?

- Chyba nic.

Znów przyspieszyli kroku.

Jęczyk spojrział rozpaczliwie na Babasa. Teraz z kolei Babas spróbował swojego zagrania.

- Pan wie, że nad morzem od wczoraj są manewry? - powiedział ni stąd, ni zowąd do Łysego.

Łysy nie odezwał się.

- Specjalna akcja... jak kocham myć nogi, proszę pana. Ćwiczenia wojsk powietrzno-desantowych.

Wczoraj widziałem jednego faceta w berecie bordo zaczajonego w krzakach. Komandosi, znaczy się...

Łysy otarł nieznacznie czoło.

- Łiesz - powiedział. - To niemożliwe.

Gi

mc

z

Ale zaczął się pilnie rozglądać...

- Pewnie, że łże - wtrącił Jęczyk. - Niech pan go nie słucha, to nie żadne ćwiczenia, tylko specjalna akcja kombinowanej brygady komandosów.

- Co takiego? - Łysy znowu otarł czoło. Widocznie pocił się nerwowo.

- Kombinowana brygada komandosów... Ja myślę, że to w związku z tym, co tydzień temu mówili nam na obozie. Tydzień temu było zebranie na kolonii i podporucznik Groźniak ze Straży Granicznej mówił, że teraz mają ostre pogotowie i że na brzegu chodzą bez przerwy patrole, co pół minuty... i żebyśmy im pomagali. Aleśmy ładnie pomogli, co? Jak pan myśli, czyjes\Yia&2\^L^Yaimm z panami, to będą nas sądzić?

Łysy udał, że nie słyszy, ale otarł czoło z potu.

- Najgorsze to by było, gdyby zaczęli strzelać zza krzaków, znienacka... Jakby tak wypadli znienacka, to pan się podda, prawda i nie będzie trzaskał, bo oni by nas chyba wszystkich wytrzaskali.

Czarny jęknął.

- Nie mogę tego słuchać... Zamknij tego maniaka powiedział do Łysego.

Łysy otarł szyję z potu i zagroził Babasowi:

- Czy jakbym zobaczył komandosa to też mam milczeć?

- O rany! - jęknął Czarny.

- No więc jak, czy mam wtedy milczeć, czy nie? - dopytywał się Babas.

Łysy zasapał, ale opanował się i powiedział:

- Nie, wtedy masz oczywiście mówić, ale tylko wtedy. Uszli w ciszy może minutę.

Nagle Babas syknął:

- Straż!...

Czarny i Łysy drgnęli. Zatrzymali się.

- Gdzie?

- Tam, w złotych dębczakach... gdzie są te wielkie paprocie.

- Bujasz.

- Jak kocham myć nogi, proszę pana, naprawdę widziałem... O znowu się poruszył...

o o

ws*

Jęczyk zdumiony wytrzeszczył oczy. Serce biło mu mocno. Nie, wzrok go nie mylił, za paprociami naprawdę coś się poruszyło. Czarny i Łysy też musieli coś zauważyć, bo jak na komendę przypadli

do ziemi, rozglądając się po okolicznych zaroślach odbezpieczyli broń.

Jęczyk też przypadł do ziemi, ale zrobił to w ten sposób, żeby się znaleźć koło Babasa.

Przywarli jeden do drugiego udając, że tulą się do siebie ze strachu. W krzakach z drugiej strony znów się coś poruszyło.

- Widziałeś? - szepnął Czarny do Łysego.

- Tak... otaczają nas... - Łysy otarł czoło chusteczką. Babas mrugnął okiem i trącił ramieniem Jęczyka.

- Ale co, tym razem dali się naciąć.

- Myślisz... myślisz, że to może tylko dziki?... - Jęczyk miał pewne wątpliwości.

- NO, PRZECIEŻ TO MACIORA 2 MAŁYMI TAM

TERAZ DO ROBOTY, KIESZENI MAM ST±VCIOiME LUSTERKO,
ROZUMIESZ..

3

M/f

Ku

•

t

I.1/ V

Przysunął się jeszcze bliżej do Jęczyka. Jęczyk wy dostał mu z kieszeni w bluzie stłuczone lusterko. Kto by pomyślał, że stłuczone lusterko tak im się przyda. Ostra krawędź szkła łatwo przecięła więzy. Po minucie obaj mieli uwolnione ręce. Poszłoby im jeszcze szybciej, ale bali się poprzecinać sobie ręce i tak szkło zadrasnęło ich w kilku miejscach.

- Trzymaj ręce z tyłu, żeby nie zauważyli - powiedział do Jęczyka Babas.

Jęczyk chciał także za jednym zamachem poprzecinać pętle na biodrach i uwolnić się całkowicie, ale Babas go powstrzymał.

- Jeszcze nie teraz. Czekajmy na dogodny moment. Czarny bezszelestnie podczołgał się do kępy dębca-

ków. Wkrótce znikł za gęstymi liśćmi.

Chłopcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Łysy zapałszy w miejsce, gdzie zniknął Czarny, nie zwracał na nich żadnej uwagi. Chłopcy pomagając sobie nawzajem rozwiązali resztę krępujących ich sznurów.

Babas zaczął rozglądać się za jakąś bronią... ale w pobliżu nie było niczego, co można by było użyć jako broń. Uwagę jego zwróciły tylko osty rosnące wokół ściętego pniaka, o pół metra od miejsca, w którym leżeli. Wtedy kawałek lusterka raz jeszcze wykazał swą przydatność. Za jego pomocą nie zważając na klucie kolców Babas uciął ostrożnie dwa największe osty. Jeden wręczył Jęczykowi, drugi zatrzymał przy sobie.

let im

gr-

- Ja go trzepnę po łapie, a ty chwyć od razu za pistolet - urwał, bo nagle zauważył, że Łysy przypatruje się im uważnie.

Coś w wyglądzie chłopców musiało się wydać typowi podejrzanym, a może nawet zauważył, że nie są już skrepowani, bo syknął.

- A to co znaczy?

- To! - wrzasnął przeraźliwie Babas i z całej siły smagnął go po ręce.

Cios był niespodziewany. Łysy wydał okrzyk bólu, pistolet wypadł mu z ręki, jednocześnie huknął strzał. Łysy musiał mimo woli nacisnąć spust pistoletu, zanim wypuścił go z dłoni. Wprawdzie nikt nie został trafiony, ale buk przeraził na chwilę wszystkich. Na szczęście Jęczyk oprzytomniał pierwszy. Na ułamek sekundy przed Łysym porwał broń i skierował w jego stronę.

- Ręce do góry! - krzyknął cofając się szybko. Ale typ ani myślał słuchać. Odzyskał już zimną krew

i zapanował nad strachem. Zerwał się na nogi i skoczył w kierunku Jęczyka. Jęczyk chciał strzelać, ale iglica broni stuknęła głucho. W pistolecie nie było już kul. Byłoby krucho w Jęczykiem, na szczęście nie stracił refleksu, błyskawicznie zorientował się, że ma przecież w drugiej ręce oset i ciał nim prosto w twarz napastnika raz i drugi i trzeci.

Łysy jęknął przeraźliwie... zakrył oczy rękami... oślepiony potknął się o wystający korzeń sosny i runął jak długi na igliwie.

ii i

Jęczyk dał susa w zarośla... W chwilę później usłyszał tupot wielu nóg i dołączył do niego zziębnięty Babas. Patrzył przestraszony w stronę zarośli.

- Co się stało? Czarny cię gonił?

Ale Babas nie zdążył nawet odpowiedzieć. W tej samej chwili bowiem rozległo się przerażająco grube, wściekłe chrząkanie... i oczom chłopców przedstawił się niezwykle widok.

Z młodnika dębowego wybiegł na polanę wielkimi susami Czarny, za nim wyskoczyła olbrzymia czarna maciora.

Czy to strzał niespodziewany ją spłoszył i rozjuszył, czy też nie spodobał jej się Czarny penetrujący zarośla, dość, że teraz rozsierzona sadziła za nim potężnymi susami z ryjem przy ziemi, obnażając złowrogo białe zakrzywione kły, a za nią skakało z niesamowitym kwikiem dziesięć pasiastych warchlaków.

Chłopcy uścisnęli sobie ręce. Wiedzieli, że rozdrażniona maciora w obronie swoich warchlaków staje się jeszcze groźniejsza od rannego odyńca. Czarny uciekał jakby miał motor w nogach i byłby może zdążył dopaść do najbliższego drzewa i schronić się na nim, ale na jego drodze stanął Łysy. Właśnie niespodziewanie podniósł się na czworakach z ziemi mrugając poparzonymi powiekami i Czarny wpadł z całym impetem na niego. Przewrócili się obaj. Czarny zerwał się wprawdzie natychmiast, ale Łysy, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, uchwycił go mocno rękami i jęcząc nie chciał puścić.

- Pokłuli mnie... łobuzy... pokłuli mnie... Rety!...

- Puszczaj idioto! - krzyknął Czarny. - Nie widzisz, że dziki nas obskoczyły...

Ale było już za późno. Maciora dopadła do niego. Przez moment zdawało się, że cios jest śmiertelny, ale Czarnego uratował pakunek w zielonym pokrowcu. Kły maciory zatrzymały się na tym pakunku.

Czarny widząc, że nie ma innego wyjścia wypalił w łeb dzika. Na odgłos strzału chłopcy nie zwlekali dłużej i co sił w nogach pognali w kierunku drogi.

n

Nie przebiegli nawet stu metrów, kiedy usłyszeli ujadanie psów.

- To psy służbowe - powiedział Babas.

- Patrol Straży - zadyszał Jęczyk.

- Gotowe nas wywęszyć.

- Nie mam ochoty dać się szarpać.

- Może... może na wszelki wypadek weszlibyśmy na drzewo - zaproponował Jęczyk i nie zwlekając zaczął wdrapywać się na najbliższy dąb... Babas poszedł za jego przykładem.

Ledwie znaleźli się na gałęzi, na polanę wpadli dwaj żołnierze z psami na smyczach. Psy dopadły do drzewa i ujadając, poczęły bezskutecznie podskakiwać do góry. - Mamy ich! Tu są!

- zawołał pierwszy z żołnierzy, a drugi dał sygnał gwizdkiem. Wkrótce rozległ się tętent kopyt i na polanę wjechało dwu jeźdźców. Jednym z nich był podporucznik Groźniak, a drugim ślaniający się na koniu, ale przecież jadący dzielnie znakomity sierżant Pieczaba, od trzech dni bohatersko walczący z sennością.

- Do stu par łysych diabłów! - zaklął podporucznik. - Do stu fur łysych diabłów, nikogo tu nie widzę!... Gdzie są ci szpiedzy?

- Tam, na drzewie - odparli strażnicy. Podporucznik zdziwił się nieco, ale popędził do drzewa. Spojrzał w górę i poczuł, że robi mu się słabo. Na drzewie zobaczył dwu wypłoszów.

- Oszaleję chyba! - jęknął. - Ciagle ci chłopcy w krótkich majtkach!

A zwracając się do delikwentów zasapał tłumiąc gniew:

- A więc to wy?

- Tak, to my - odpowiedzieli pogodnie, nie zdając sobie sprawy z furii podporucznika.

Chcieli od razu wyjaśnić wszystko, ale nagle ogarnęło ich straszne onieśmienie. To dziwne, bo przecież byli odważni wobec wroga, a teraz... teraz cała śmiałość ich opuściła. Może dlatego, że zobaczyli wściekłą minę podporucznika Groźniaka, a może w ogóle się przestraszyli, że za bardzo narozrabiali. Bądź co bądź okłamali za pierwszym razem strażników - co tu dużo gadać. Ze strachu ich okłamali i wykpił się tym pomysłem z nitką.

- Do stu fur diabłów! - zaklął podporucznik - słyszycie, sierzancie?

Sierżant otrząsnął się z nowego napadu senności.

- O co chodzi, poruczniku?

- Pytam się was, gdzie są przestępcy, których obiecywaliście, sierzancie?

- No, chyba tu.

- Nie, tu są chłopcy w krótkich majtkach.

Nieszczęśliwy sierżant Pieczaba z trudem otworzył powieki i jeszcze raz potrząsnął głową, żeby odpędzić senność. Zdawało mu się bowiem, że śni, ale nie śnił. Istotnie na drzewie siedziało dwu chłopców w krótkich majtkach, a miny ich nie wskazywały bynajmniej na to, by byli w rękach przestępców, a raczej, że niedawno urządzili komuś dobry kawał.

- Czy oni wyglądają na ofiary przestępców granicznych? - zagrmiał podporucznik. - Nie, oni wyglądają na urwisów. I nie widać wcale, żeby byli w mocy wroga.

- Istotnie, nie widać - jęknął zmieszany sierżant, po czym zdjął czapkę i zrobił sobie mały masaż głowy.

- I co z waszą teorią? - szydził okrutnie podporucznik. - Z teorią nitki i straszaka? To wstyd, to kompromitacja, sierzancie. Jak my teraz wyglądamy? Majaczyliście chyba w śpiączce. Tak jest, majaczyliście w śpiączce i nie byliście wcale na chodzie. Wymyślić taką hipotezę!

Wtem wzrok podporucznika padł na pistolet, który Ba-bas tulił do piersi.

- Patrzcie, jeszcze jeden straszak. To te nowe strzały... Skonfiskować.

Pieczaba podjechał.

- Dajcie no, chłopcy, tę zabawkę.

Babas rzucił mu pistolet... Sierżant wziął go do ręki. Nagle twarz mu się zmieniła. Pomacał go w rękę, obejrzał i zamrugał oczami.

- Weźcie to poruczniku... ja przepraszam... ale melduję, że chyba śpię - wybełkotał.

-!

Podporucznik wziął pistolet. Broń zaciążyła mu w rękę. Wytrzeszczył oczy i dopiero teraz poznał, że trzyma w ręce najprawdziwszego niemieckiego mauzera, kaliber 9.

- Co to jest?

- Pistolet, panie poruczniku - wykrztusił Babas.

- Skąd wzięliście ten pistolet?

- A to od szpiega.

- Co takiego?

- Od szpiega - powtórzył.

Podporucznik poczuł, że krew uderza mu do głowy.

- Szpieg wam dał ten pistolet?

- No, nie... odebraliśmy mu... szkoda tylko, że bez kuli, ale przy szamotaniu ostatnia kula w magazynku wystrzeliła... ten pierwszy strzał pan porucznik słyszał, bo drugi, to był strzał Czarnego do dzika. Więc dlatego ten pistolet jest bez kuli... gdyby tam była kula, to, ho ho, to byśmy zabrali z sobą tego szpiega, no nie, Jęczyk?

- Szpiega! Więc to prawda? - zdrętwiał oficer. Opowiedzieli całą historię.

Podporucznik nie mógł się we wszystkim od razu połapać. Kiedy wreszcie zrozumiał, najpierw otarł pot z czoła, potem spojrzął na nich przerażony, wreszcie zsadził ich z gałęzi i serdecznie przycisnął do munduru.

- Chłopcy... okropni chłopcy! Słyszycie sierzancie, ależ to wspaniali chłopcy!

- Więc myśli pan, że z tą nitką i liściem nie było takie głupie? - zapytali.

- Nie - odparł poważnie podporucznik - to było dobre zagranie... Wspaniała kontra godna prawdziwego kontrwywiadu.
chj

Po chwili podporucznik Groźniak szybko zaczął wydawać rozkazy i instrukcje. Patrole alarmowe jeden po drugim ruszały w las. Wreszcie na polance został tylko Groźniak z sierżantem Pieczabą i chłopcy. Podporucznik pochylał się z konia i wyciągnął do chłopców rękę.

- Dziękuję wam, zuchy. Umawiamy się, że nie powiecie o tym nikomu; ani że wpadliście na trop przestępcy, ani o tym, że do was strzelano. Aż do odwołania. Tajemnica wojskowa, rozumiecie? A teraz wracajcie do obozu, bo wasi wychowawcy się niepokoją.

Jęczyk i Babas ruszyli niechętnie. To miało być wszystko? Więc już nie są potrzebni. Kuba odwrócił się.

- Panie dowódcu - rzekł załamującym się głosem - panie dowódcu, my też chcielibyśmy... pozwólcie nam wziąć udział w pościgu...

Cień uśmiechu przemknął po twarzy podporucznika.

- Nie, na to nie mogę zezwolić - powiedział stanowczo. - A gdybym nawet mógł, też bym wam nie pozwolił. To bardzo niebezpieczna gra. Macie szczęście, żeście cało uszli z tej przygody.

Kuba zmarkotniał. Całą powrotną drogę trząsał palcami, co oznaczało, że był bardzo przygnębiony.

;!|

Co do Jęczyka, to przeciwnie, odetchnął z niejaką ulgą. Miał jeszcze w uszach syk kul, czuł na sobie wzrok Czarnego i widział wycelowany w siebie pistolet. Średnia przyjemność. Już lepiej bawić się z Szyrmerem w ciuciubabkę. Gdy jednak zza gałęzi ukazał się dom kolonijny, wzdrygnął się. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jaka ich tutaj czeka przeprawa.

Oczywiście wszyscy tam mają ich za ostatnie niezdary. Będą się śmiać, że zabłądzili w lesie. A już najwięcej Ka-raśkiewicz. A oni... oni nie będą mogli się bronić. Nie wolno im nic wyjaśnić. Muszą milczeć.

Oho, już słysząc krzyki chłopców... zaraz się zacznie... Nie... nie... już chyba lepiej przekradać się przez najgęstsze jeżyny z żołnierzami.

Jęczyk przystanął.

- No co, zostajesz? - zagadnął Babas.

- Kuba, nie chodźmy lepiej - szepnął Jęczyk -wiesz, co będzie.

- Wiem... - mruknął Babas - ale co zrobić.

- Kuba... Kuba... - Jęczyk zawahał się - a jakby... jakby im tak... tak troszeczkę powiedzieć...

No... na przykład tylko tyle: „wytropiliśmy kogoś, ale to tajemnica”.

n

m l

ib-

r -.-|

Kuba spojrział na niego surowo.

- Ani się waż, nic nie wolno powiedzieć. Nic. Rozumiesz, ani tyć, tyć. Wiesz, co to jest tajemnica wojskowa.

- Wiem - szepnął cicho Jęczyk - ale będą nas robić na szaro.

- Trudno, taki jest los bezimiennych bohaterów - westchnął Kuba.

- Bezimiennych bohaterów?

- To właśnie tacy, jak my - tłumaczył Kuba. - Jesteś bohaterem, ale nikt o tym nie wie, nikt cię nie chwali, a przeciwnie, posądzają cię o tchórzostwo i inne brzydkie rzeczy. A ty nie możesz się bronić, nic nie możesz mówić, ani mru mru.

Jęczyk przygryzł wargi.

Przygoda przygodą, ale fakt, że jednak Karaśkiewicz wygrał podchody, był przykry.

Najgorsze, że będą uważali ich za ostatnich, takich, co nie tylko nie wpadli na właściwy trop, ale w

dodatku zabłądzili i zgubili się. A oni nic nie będą mogli sprostować. Ani jednym słowem się bronić. No cóż, bezimienne bohaterstwo.
Jęczyk wytarł głośno nos i westchnął.

,73

Ruszyli do obozu ze zwieszonymi głowami. Czerwone słońce już zachodziło, długie cienie kładły się na drodze. Robiło się coraz chłodniej. Raz po raz przechodziły chłopców dreszcze. Gdy dochodzili do leśniczówki, właśnie zadzwoniono na kolację. Słychać było pomieszane głosy. Nawoływania i tupot. Harcerze biegli do sali jadalnej. Jęczyk i Babas odetchnęli nieco. Można będzie przynajmniej spokojnie doprowadzić się do porządku. Zamknęli się w umywalni i ściągnęli przepocone bluzy. Gdy spojrzeli w lustra, przerazili się. Wyglądali jak dzicy ludzie. Twarze mieli poznaczone czerwonymi krechami krwi. Włosy pełne igliwia i pajęczyn. Oczy wylęknione. Więc tak wyglądają oblicza bezimiennych...

Umyli się pospiesznie, uczesali i wyczyścili nawzajem. Kuba otaksował Jęczyka wzrokiem.

- No, dobra. Tych parę zadrapań na twarzy, to głupstwo, tylko ta mina, bracie, do niczego. Po co masz robić uciechę Karaśkiewiczowi? Pomyśl, że on nic nie wie, nic nie widział... Szary człowiek, a my? Zrób taką minę, o, tajemniczą.

Jęczyk starał się go naśladować, ale nic z tego nie wyszło.

Gdy wchodzili do sali, wszystkie głowy obróciły się do nich i rozmowa ucichła. Karaśkiewicz trącił w bok Pawła i obaj wybuchli krótkim chichotem. Jęczyk i Babas patrzyli w stronę Szyrmera, czy nie będzie ich beszał, ale on powiedział tylko jakimś nieswoim głosem:

- No, nareszcie jesteście. Siadajcie do stołu. Pogadamy później.

Był bardzo blady i otarł chusteczką czoło, chociaż wcale nie było gorąco, a potem przez resztę kolacji nerwowo czyścił okulary.

Nigdy chyba jeszcze jedzenie nie smakowało tak obu wywiadowcom jak tego wieczoru.

Pałaszowali je z wilczym apetytem, nie bardzo wiedząc nawet, co wsuwali. Przed podaniem deseru Karaśkiewicz posłał im szkolną pocztą kartkę, na której napisał:

~7?

Kuba wstał, pomału i ostentacyjnie niedbałym ruchem wrzucił ją bez słowa do kosza od śmieci.

Jęczyk spojrzał na niego z podziwem. Babas umiał trzymać fason.

Pod koniec kolacji chłopcy mieli jeszcze jedną chwilą emocji. Oto gdy skończyli deser, rozległy się nagle dalekie strzały...

Wszyscy zastygli nad stołem i patrzyli po sobie zaniepokojeni. Tylko Jęczyk z Kubą wymienili znaczące spojrzenia.

kt.

u

Życie na obozie toczyło się pozornie zwykłym torem, a przecież coś się zmieniło. Od tego dnia chłopcy nie bawili się już w zwiadowców i podchody. Szyrmer nie puszczał ich do lasu.

Karaśkiewicz twierdził, że to z winy Jęczyka i Baba-sa, którzy wtedy okazali się ostatnimi ofiarami i Szyrmer najadł się przez nich strachu. Co do obu nieszczęsnych wywiadowców, byli wdzięczni Szyrmerowi, że nie wspominał nigdy o ich przygodzie i nie pozwalał, żeby im dokuczali.

Co prawda, poza jego plecami, używano sobie naślednikach, ile weszło. Patrzono na nich z wyższością, przezywano czerwonymi kapturkami oraz Jasiem i Małgosią, a Karaśkiewicz pytał ich, czy wytropili w lesie wilka, czy Babę Jagę i chichotał obrzydliwie. Jęczyk już nieraz miał dosyć tego i chciał powiedzieć Karaśkiewiczowi, kogo naprawdę wytropili, ale zawsze wtedy napotykał surowe spojrzenie Kuby i znosił wszystko w milczeniu.

Nadszedł wreszcie ostatni dzień pobytu chłopców na obozie. Wieczorem odbyło się pożegnalne ognisko, na które harcerze zaprosili między innymi przedstawicieli Straży Granicznej z podporucznikiem Groźniakiem na czele.

Szyrmer podziękował dowódcy strażnicy za pomoc w zorganizowaniu obozu.

Podporucznik Groźniak uśmiechnął się.

- No, chłopcy... jeśli już koniecznie mamy sobie dziękować, to ja chciałbym podziękować dwu

waszym harcerzom.

Zapanowała cisza. Chłopcy patrzyli po sobie zaskoczeni.

- Otóż musicie się dowiedzieć - zaczął Groźniak - że dwa tygodnie temu wasi harcerze wytropili i pomogli ująć dwóch uzbrojonych przemytników, powiedziałbym agentów specjalnej klasy, którzy wiedząc o zaostrzonej kontroli na przejściach granicznych próbowali opuścić teren Polski tradycyjną zieloną ścieżką przemytniczą. Unieśli z sobą kopię ściśle tajnej dokumentacji technicznej pewnych elementów wyposażenia naszego najnowszego helikoptera wojskowego HUZAR 99. Wasi harcerze przyczynili się walenie do tego, że ten ważny produkt polskiej myśli technicznej nie został nam wykradzony!

Rozległy się szepty zdziwienia.

w

* »

*u

V*

'o

'o

> i

\$. 9

- Nasi harcerze? - zapytał Szyrmer zdumiony i przerażony zarazem.

Dowódca patrzył z uśmiechem po zaciekawionych chłopcach.

- To znaczy, że nic nikomu nie mówili. No... to dobrze o nich świadczy.

Odwrócił się do Jęczyka i Babasa:

- Jak tam koledzy, tajemnica wojskowa zachowana?

- Tak jest - odparli, czerwoni z emocji.

- To dobrze... - powtórzył z uśmiechem. - Teraz możecie już wszystko opowiedzieć kolegom.

Albo nie, lepiej ja opowiem, bo to nie byle jaka przygoda.

Zapanowała ogromna cisza. Słychać było tylko trzaskanie igieł w ognisku... Czerwony odblask padał na napięte twarze, błyszczące oczy wpatrywały się z przejęciem w Babasa i Jęczyka.

A podporucznik opowiedział wszystko, jak było. Prawie wszystko, bo ani słowem nie wspomniał, jakiego mieli stracha. Najgorzej bał się Jęczyk, żeby nie powiedział, jak jemu - wywiadowcy Jęczykowi, łydki dygotały. No, bo to by go od razu położyło w oczach tych małych szyderców. Ale podporucznik, dobre chłopisko, nie wspomniał o tych łydkach, tak że w jego opowiadaniu wyszli na całkiem równych bohaterów. Powiedział, że ujawnił się w nich prawdziwy talent asów służb specjalnych, bo potrafili w każdej sytuacji zachować się mądrze i rozważnie, a jednocześnie bohatersko.

Pomysł z nitką nazwał fortelem godnym kontrwywiadu, a straszenie przestępców w czasie ostatniego marszu przez gąszcze - nokautem psychologicznym.

Na końcu złożył gratulacje zaskoczonemu Szyrmerowi, powiedział, że jego praca instruktorska wydała plon w osobach tu obecnych Jęczyka i Babasa.

!

k n

Wszyscy byli wzruszeni i przejęci tą przemową. Jeszcze chyba nigdy nikogo na tutejszych ogniskach tak chciwie nie słuchano. Potem wypytywano Jęczyka i Babasa o różne szczegóły. I pytaliby bez końca, ale Szyrmer przerwał, bo były jeszcze inne punkty programu ogniska.

Za to całą powrotną drogę wszyscy mówili o Straży. Lotnictwo, marynarka, broń pancerna musiały ustąpić miejsca. Tego wieczoru wszyscy chcieli być w Straży Granicznej.

Jeden Karaśkiewicz trzymał się z daleka i nie brał udziału w rozmowie. Może zazdrość go żarła, a może wstyd. Dopiero w umywalni niechcący wpadł na Jęczyka i Babasa. Jęczyk walnął go wtedy pod żebro, tak lekko, zupełnie leciutko, bez złości i zapytał:

i co

CTiO BYŁ

